

KLASYKA MNIEJ ZNANA



Eliza Orzeszkowa
Juliusz Rómski

AD ASTRA

universitas

AD ASTRA

DWUGŁOS

Powieść *Ad astra* (1904) to dzieło wspólne Elizy Orzeszkowej i Tadeusza Garbowskiego (pseud. Juliusz Romski) napisane w formie listowego dwugłosu. W roku 1899 literat-amator, Tadeusz Garbowski (ur. 1869), z zawodu przyrodnik, w latach późniejszych profesor filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim, zaproponował sześćdziesięcioletniej wówczas Orzeszkowej napisanie wspólnej powieści. W początkach roku 1902 dzieło było już właściwie skończone, choć wymagało drobnych zmian i poprawek. Listy Orzeszkowej wymownie ukazują trudności stawiane przez oporny materiał powieściowy, kształtowany przez dwoje dalekich od siebie autorów. Pisarka uciekała się do pomocy zawodowych krytyków – czytała powieść J. Kallenbachowi, zapoznała z nią W. Bogusławskiego.

Spór ideowy, któremu autorzy starali się nadać aktualność, skomplikowany wzajemnym szacunkiem i sympatią uczuciową, toczy się w powieści między kobietą obdarzoną blaskiem duchowego dostojęstwa a młodym filozofem, który pretenduje do rozwiązania ostatecznych zagadek bytu, początkowo czyniąc to w duchu pozytywistycznego scjentyzmu, potem na sposób nietzscheański. Narracja oscyluje między esejem filozoficznym a poetycką prozą opisową i alegoryzującą w stylu późno-romantycznym.

K L A S Y K A M N I E J Z N A N A

Eliza Orzeszkowa, Juliusz Romski

AD ASTRA

Kraków

© Copyright for Klasyka Mniej Znana
by Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych
UNIVERSITAS, Kraków 2003

Podstawą niniejszej edycji jest wydanie:
Eliza Orzeszkowa, *Pisma zebrane*, pod redakcją Juliana
Krzyżanowskiego, t. XXXV, Spółdzielnia Wydawnicza
„Książka i Wiedza”, Warszawa 1950, według wydania
Gebethnera i Wolffa, Warszawa-Kraków 1904.
Tekst zmodernizowany według obowiązujących zasad
ortograficznych i interpunkcyjnych.

ISBN 97883-242-1015-2
TAiWPN UNIVERSITAS

Projekt okładki serii
Ewa Gray

W PUSZCZY

I

Na zachodzie, daleko, za przestrzeniami lasu, których wzrok orli nawet przemierzyć by nie mógł, zza miedzianych lub krwistych purpur zorzy wieczornej rozplywa się po błękitach morze bladego ognia i do lasu wlewać się poczyną, jak miód bladozłoty do szmaragdowej czary. W poświacie tej, z rozpylonych niby pierścieni ślubnych powstałej, pęka i kruszy się ściskający przedmioty cement leśnych zmroków, a od dna do podniebnej wyżyny wszystko rozstępuje się, wyodrębnia, otwiera na oścież głębie tajemnicze i dale niezmierne, w których jak w czarnoksięskim pałacu zaklęta królewna-życie oddycha na łożu, usłanym z zadumy i ciszy.

Zadumy, cisze, zmroki wieczorne, ciemności nocne ścielą tu całuny uśpienia i smutku; mgły snują żalobne przedziwa, mróz ze szronu i lodu wykuwa szklane trumny i z grozą gromów, z wirem wichrów przetaczają się burze zimowe i letnie, a zaklęta królewna żyje – i nie przerywa się nigdy, choć niekiedy przycicha lub słabnie bicie jej nieśmiertelnego serca. Nie znikają też nigdy ze stropu jej pałacu, choć niekiedy za chmury się kryją, słońce i gwiazdy, a gdy w rumieńcach jutrzni albo w ogniach zorzy wschodzą nad światem pogodne wieczory i ranki, wzbija się od niej tysiąc głosów, tysiąc woni, tysiąc ech i po tajemniczych głębiach, po niezmiernych dalach jej komnat tysiącem strumieni rozplywa się czar piękności.

Za gęstwiniami i drogami, za polanami i łąkami, za strumieniami i rzekami stoi B ó r - L a d a, klejnot puszczy najdrogocenniejszy, odwieczne dziedzictwo olbrzymek. Ze wszystkiego wokół najsta-

rożytniejsze żyją tu same jedne sosny, potężnie broniąc państwa swego od najścia plemion innych. Jak przystoi olbrzymkom, nie zbiegają się w tłumy, lecz znacznymi odległościami rozłączone korony rozłożyste wznoszą w podchmurne wyżyny na pniach prostych i gładkich, jakby je w kształty kolumn utoczyły dłuta mistrzów-architektów. W siwych koronkach porostów lub rdzawoczerwone od przejmującej miąższ ich żywicy kolumny te, występując jedne zza drugich, zdaje się jakby w nieśmiertelnej gonitwie dążyły w nieskończoność bezprzestanną; budują i krzyżują labirynty portyków z dachami rzeźbionymi we wzory iglaste, z podłóżami wysłanymi puchem mchów i wrzosów. Czasem na podłożach rojem iskier rozsypują się korony drobnych kwiatów, lecz słabe to życie na wodzy trzymają olbrzymki, wielkimi haustą wypijające soki z ulubionej swej gleby piaszczystej, w ciszach głębokich i w woniach octowych, które u ich podnóży biją z łańcuchów gór mrówczych. Cicho i czysto. Po śliskiej powierzchni opadłego igliwia mrówcze ludy same jedne chodzą drogami przez plemię ich ubijanymi od wieków i gdzieniegdzie, u stóp kolumn wznoszących pod niebo hymn wzrostu i siły, dawno pomarłe bajraki rozciągają strugi krwistego próchna. Cicho. Ptaki nie mają tu jagód, pszczoły wody, a motyle kwiatów. Nic nie lata, nie śpiewa, nie świegoce. Dziękiol tylko miarowo kędyś stuka, piskłę krogulcze ostrym poświstem ozywa się na wierzchach i w dali zadzwięczały krótkie, urywane dzwonki. Co zadzwoniło? To jelenie zaszczekały. Biegną; z głuchym tętentem, po przezroczystych portykach przewijają się rudą smugą ciał potężnych a lekkich, które zalotnie kołyszącym się krokiem omijają kolumny, królewskimi rogami na tych luźnych przestrzeniach zaledwie potrącając opuszczające się z gałęzi włochate brody mchów drzewnych. Nagle górą poleciały, w gałęziach zaszumiały wielkie skrzydła ptasie. Orzeł to był, czy jastrząb, albo krogulec? Jelenie stanęły, w długi sznur wyciągnięte podniosły głowy, rogi pokładły na grzbietach i wszystkimi parami oczu wpatrzyły się w ażur wysokiego dachu. W oczach tych bojaźń jest i z nieskończoną słodyczą niema prośba. Tak nieruchomością posągową tknięte, w błękitne plamy nieba zapatrzone, we wzroku i słuchu całe, stoją pod spływającym na nie miedzianym blaskiem zorzy; potem zrywają się znowu i z szybkością myśli czy strzały mkną dalej, dalej, tam, kędy czyni się ciemniej, gęściej, kędy z ziem chłodnych i tłustych, truflami i torfem pachnących nad-

chodzi ku państwu olbrzymek silny, młody, wojnę z zagładą niosący – J e ł o s m y c z.

J e ł o s m y c z to czysty, żadną przymieszką obcą nie skalany ród świerków. Świerki idą. Tłum postaci wyniosłych i zgrabnych idzie na podbój ziemi i jej żywiących soków. Z ostrymi iglicami gotyckich wież na głowach, w płaszczach rycerskich, z których naokół padają długie cienie, spieszą w bój z rodem prastarym, który ziemię tę zwłokami swymi utuczył i na dalekie morza rozsyłał heroldów jej sławy w postaci niezłomnych masztów. Dwa rody spotykają się z sobą, zwierają się, walczą. Widać, jak na kolumny sosen opadają ze stron wszystkich gęsto tkane płaszcze świerkowe, do stóp ich ścieląc cienie, dyszące wilgotną zgubą. Liściaste podszycia, natarczywie tłocząc się, wojskiem ciurów wspomagają szeregi zaborcze; coraz też częściej i gęściej iglice gotyckie strzelają ku niebu, a dokoła olbrzymek staje się coraz ciaśniej, ciemniej: – grzyby pachną, dymna woń torfu napelnia szczeliny, przenika pory gęstwin, czuć jakiś tryumf, tuż obok konanie, aż u zwężonych granic starożytnego państwa zwycięski J e ł o s m y c z rozpościerać poczyna ściśliwą, ciemną, iglastymi wieżycami zjeżoną, liściastymi firankami zawieszoną – S m u g ę C z a r n ą.

C z a r n a S m u g a, to uroczysko pełne postrachów i dziwów. Są tam u góry mosty napowietrzne, które wichry budują z ciał rycerzy złamanych i konające czoła opuszczających na łona towarzyszy; są pod świerkowymi płaszczami nawy niskie, bezkresne, milczące i mroczne jak potajemne kościoły; są wśród wywrotów, które z ziemi wydarte korzenie wyciągają w powietrze na kształt nóg przeolbrzymich pajaków, trupy prastare, których nagie żebra bieleją, jak szkielety przedpotopowych potworów; są nory dziwne, ciemności i tchliny pełne, pomiędzy łapami świerków, które na rozstawionych, zda się, nogach wielkoludów, tułowia drzew wysoko nad ziemią podnoszą. W czarnych ciemnościach nor tych szleszczą gniazda robacze i ostrożnie wyglądają z nich żółte głowy kun i łasic, gdy wyżej w gęstwinach igliwia pomykają we dnie wieńcówki rude, a nocami świecą zielone oczy i do łupieżczych poskoków zwijają się kocie ciała rysiów. Wichry gonące się po przestworzach i burze gromami huczące dna Smugi Czarnej nie sięgają. Ulewa kędyś wysoko hełmy gotyckie siekająca, po rycerskich płaszczach spływa rzadką rosą i w ziemię wsiąkając dobywa z niej za-

pach pleśni. Tu czasem orzeł-imperator zajrzy w ciemne rozdoły, załopoce potężnymi skrzydły i strąciwszy z drzew trochę gałęzi z dumnym szumem odpłynie w górę. Tu czasem w głębokościach najciemniejszych toczą się niestałe, grobowe mrużenia żubrów, wzbierając i milknąc, chrapiąc i rwąc się, do grzmotu, który by gamy swej we wnętrzościach ziemi próbował, podobne.

Podziemne to jest, ponure i roztaczające szerokie kręgi grozy. Nie wiedzieć, w jakiej twierdzy, obwarowanej ścianami rumowisk, zjeżonej nagimi żebrami szkieletów, kłótnia wybuchła i wszczęły się łoskoty, łomoty, stuki, które echa przewlekłe po lesie roznoszą. Słysząc stękanie drzew, potrącanych przez ciała ogromne, trzeszczenie walących się łomów, suchy łoskot zwierających się rogów, tętenty racic, które w walce zacieklej wyrzucają spod siebie bryły ziemi. Postrach idzie lasem. Cokolwiek wokół żyje, przypada do trawy, do liścia, do gniazda, do legowiska, do nory; pełza, kurczy się, zwija kręgi albo pierścienie, pożąda ukrycia się, zniknięcia. Aż nagle milknie wszystko. Wśród ciszy zakłętej, którą powszechna trwoga las napelniła, stary żubr zwyciężony rogatą głową wychyla z gęstwiny i ciężki tułów przesuwa po przezroczystych kolumnadach Boru-Lady. Od gęstej grzywy, która falą wełnistą wzdyma się mu na grzbiecie, i długiej brody, opuszczającej ku ziemi kądziel starganą, powiało kłiwym zapachem piżma. Zwyciężony, zadumany, ponury, opuścił rodzinne stado, aby odtąd pustelniczą swą starość melancholijnie i groźnie obnosić pośród światła i cieni, grózi i piękności, dzikich postrachów i słodkich pieszczot tej puszczy. Chodzić on będzie po szmaragdowych drogach, które wśród ścian niebo-siężnych w dalekich dalach otwierają się na błękity lub na chmury niebios i po ścieżkach swawolnych, które tysiącem skrętów biegną ku srebrnym biegom strumieni. Pójdzie on tam, kędy na olchach łąk wilgotnych wieszają się białe opary i trwożnymi błyski migocą ogniska pastusze; kędy na różowych marglach, na bogatych we wszelki liść Hrudach gibkie graby tysiącem ramion owijają wyniosłe wiązy; kędy z podnóżami zatopionymi w szkliwie wód czarnych jak smoła dęby pod samo niebo ciskają odwieczne swe wzrosty. Na zawsze uciszony słuchać on będzie w klonowych gajach, jak drzewa drżeniem liści, a ptaki śpiewnym chorałem witają radosne poranki, i na zawsze samotny ścigać wzrokiem zza grubej kolumny chyże sarny, stadami mknące ku wieczornym leżom. Spoczynek znajdzie tam,

kędy z wiecznie zielonych wąwozów jak z czar malachitowych ogromna i gorzka wybucha woń trawy, noszącej imię jego, albo tam, kędy błotne Nikary na przestrzeniach dla oka niezmiernych rozstawiają wojska trzciny w kołpakach aksamitnych.

Na ogromnym mokrzadlu Wielkiego Nikaru, w nurtach brodów posiadały łosie i głowy tylko, konchovatymi rogami oskrzydłone nad mętne powierzchnie podnosząc, na kształt samotnych bożków gryzą rozmarynem pachnące bahony. Wiatry na tych gładkich przestrzeniach jak bieguny na stepach hasają po niwach ajerów, irysów, grzybieni, przeciągle gwizdząc w oczerety – czajki krzyczą, bąk huczy, czapla przelatuje i dokoła głów łosich zorza łuny różane ściele po stojących wodach.

.
.

Drobna na wielkim obrazie przyrody, ciemna i cicha wśród jej blasków i głosów młoda kobieta stanęła w gaju osin, które kaskadami drżących liści szeleściły pośród milczących sosen. Suknia jej ciemną plamę kładła na rdzawość leśnego olbrzyma, lecz twarz w rumianej smudze zachodu jaśniała młodością promienną, jak w lipcowe upały Jaśnieje wśród cieni leśnych słoneczna korona arniki. Wiosna jej minęła, fiołki uwiędły i na trawy zroszone deszczami, zryte gromami opadły wątłe płatki anemon; lecz lato życia tak czyste i silne, jak oddechy tej puszczy, z którą bez przestanku żyła, wyrzeźbiło ją w harmonię kształtów i linii, właściwą wszystkim rzeczom skończonym w sobie, czystym i silnym.

Szafir źrenic jej, które teraz ku srebrzącym się kaskadom liści wznosiła, pogłębiły ostrza uderzeń serdecznych i blask ich uczyniły więcej podobnym do gorejącej łuny zachodu niż do radosnych światel jutrzeńki. Od wzniesionej ku górze jej głowy spływał jedwabnym ciężarem węzeł włosów z barwą dojrzałej pszenicy, a palce splecione wyprzedły wieki uprawy pokoleń, fizycznej i duchowej.

W metalicznym szmerze osinowego gaju, w ślizgających się dokoła smugach rubinowego światła ruchem zadumy czy modlitwy splotła ręce i zatopiła się w myślach.

«Stwórcu i Władco wszystkiego, co oddycha, co oddycha usta oblanymi rosą szczęścia i tuż obok wargami ran, sączącymi krew bólu, jad krzywdy, znój walki, żalobę strat niepowetowanych; – Potęgo i Myśli najwyższa, która na niezmierzonej karcie wszech-

przestrzeni kreślisz niezliczone drogi i wikłasz je w zagadkę, z utopionym na dnie. Tobie jednemu znanym kluczem przeznaczenia; przed Twoją wolą kornie pochylam swą wolę i ku Twym gwiazdom wytrwale wzbijam serce, jak wiotki powój wici swe skłania do stóp, a od stóp wspina ku szczytowi leśnego olbrzyma...

Tyś to podjął mię z pospolitego mrowiska i w ręku swych wznosił wysoko, wyżej, aż mi w źrenice spływały blaski Twoich gwiazd – i zarazem Tyś promienie źrenic tych zgiał ku ziemi, wyostrzył w przenikliwość, wyciągnął w dalekowiedztwo i ujrzeć im dał mary przeciągające przez świat z garbami nieszczęść i zbrodni, jak z górami, zasłaniającymi gwiazdy. Idą w dymach krwawych i stopy zwierzęce stawiają na gniazdach, na różach, na perłach, na śniegach niewinności, na purpurach królewskich ukochań. Słyszę pęknięcie czaszek ukoronowanych, rżenie piersi bohaterskich, westchnienia róż konających, chrzęsty gruchotanych perł...

Od kolebki brałam w siebie tę baśń nad baśniami, która tragiczną prawdą ciecze u podnóży tej puszczy, aż zmieszała się ona z krwią moją, zabarwiła opony mózgowie, uczucia w sercu wyprężyła jak struny na harfie... a baśń nieskończoną i prawda jej tragiczną jest, o Panie!

W tę niezmierną kartę, z której czytać mię nauczyłeś, zapatrzona, nie oglądałam się, nie zapobiegałam, nie widziałam, jak lata młodości na kształt fal wartkich u stóp mi płynęły, znikwały, zanim więcierze swe zarzucić w nie zdołałam, jak własne perły moje w konse serca roztopiały się we łzy, zanim zdołałam wykuć z nich sobie pancierz i diadem.

Ranek przeminął, południe nadeszło, przemija...

Wieczór już, Panie! Oto leśni ptacy
Skłaniają skrzydła ku gwiazdom w polocie...

Gniazdo me spadło strącone od gromu... I jak drobne ptaszęta rozlatujące się z trwożnym szczebiotem, gdy orzeł wierzchem puszczy popłynie; jak trawa tak wybujała, że unikają jej niskie loty motyle; jak obłok, który nad świerkami stojąc srebrnym okiem wpatruje się w leśną ciemnicę, gdy inne w swobodzie po błękitach promiennych igrają – tak jestem sama...

Oto pół Twoich umilkli śpiewacy,
Oto dzień cały przetrwałam już w pracy!

Dlaczego, Panie?

Są na drogach tej puszczy brzozy płaczące, w których cieniu błogi spoczynek znajdują zmęczeni wędrowce; są na krzakach maliny, z których piją spragnione ptaki; jest na drzewach patoka miodna, ciekąca po korach przepojonych goryczą garbnika.

Są na ziemi ręce, które robaczki zagrożone zdeptaniem przenoszą na miejsca bezpieczne i latorośle od pni oderwane przywracają próchnicy ze zwłok ich przodków powstałej. Są serca, które wtórują wszystkim szumom, echem, trzaskom i hukom tej puszczy, bijąc w jej łonie, jak własne jej serce...

Czy dlatego?

Wysłuchuję się w serce swoje i mówi mi ono: tak! tak! Przez serca Ty, Panie, do ludzi przemawiasz!

Mam wiele mogił, do których chodzę w odwiedziny, i jedną najdroższą, w której na stepach dalekich brat mój śni o niebie nad puszcza tą zawieszonym.

Stara piastunka moja, gdy śmierć zamykała kochane jej oczy, rękę mą ściskając szeptała: 'Samą zostaniesz, samiutką jedną w tych wielkich pokojach...'

Nie było dla mnie ogniska...

Bo raz tylko... ale Ty wiesz o tym, który jesteś w sercu moim... raz tylko rękę wyciągnęłam po szczęście. Odeszło...

Kwiaty posnęły majowe...»

.
.

Gdy tak myślała, coś w oddali poczęło z cicha muskać mchy i paprocie. To łania biała biegła tak lekko, że od jej stąpań niekiedy tylko zachwiała się gibka latorośl osiki lub szerokim wachlarzem powiała paproć-orlica. Biegła wprost ku niej, na cząbrach kwitnących stanęła, zatopiła w niej czarne, przenikliwe oczy.

Wtedy też poświata bladziółta, która pyłem jasności eterycznej napelniała i przeświecała las, poczęła mącić się i gęstnieć. Linie zacierały się, kolory gasły, kształty wzajem na siebie następując przechodziły w stan tych widzeń fantastycznych, które szeregiem metamorfoz przeciągają po tle usypiających powiek. Natomiast w tym, co dla wzroku stawało się już tylko chaosem i fantasmago-

rią, o inne zmysły uderzyły dwa napowietrzne chóry: woni i dźwięków. Miody i smoły zapachniały, na spotkanie ich od mrówczych wzgórz wypłynął ostry ocet, z żubrowych siedlisk powiały ckliwe piżma, zmieszane z goryczą dzikich gorczyc i ajerów, aż ziemia wionęła dymnym zapachem torfowisk, smakiem grzybnym i razowym, wilgocią gliny, pyłem piasków, próchen i może tych żwirów, które na głębokich spodach pozostawiło przed wiekami ociekające stąd morze. A w przepotężnym odetchnieniu ziemi ozwał się chorał dźwięków z początkiem nieznanym i końcem przepadającym w otchłaniach oddaleń. Nie wiedzieć gdzie, nie wiedzieć co mówiło, szemrało, pomykało, przelatywało... Jakiś poskrzypy i pomruki, trwożliwe szelesty, klekoty oddalone, turkoty głuche, mętne i wnet mdlejące wołania, westchnienia przewlekane przez echa, wszystko mgliste, szkicowane za ledwie, z przyczyną niewiadomą i konaniem towarzyszącym poczęciu...

Wtem wyraźnie, jasno, przeciągle popłynęły zapadającym w noc lasem srebrne brzmienia dzwonu.

Kto i gdzie dzwoni?

Czy w głębi Sarniego Skoku tak głośno rozszczękały się jelenie? Czy na Zamczysku zagrały ogary, których widma towarzyszą tam nocami widmowym myślistwom królewskim?

Nie: był to kościelny dzwon, lecz nie nad takim kościołem dzwoniący, który wznosi się na powierzchni ziemi. Rozbrzmiewał od Mogił, uroczyska, w którym pod ziemią i lasem, ze świątyniami, pałacami, ulicami swymi, całe, żywe, z żywą ludnością, stoi miasto, niegdyś w ziemię zapadłe. Pradawne to było; las niebosiężny nad nim wyrósł, lecz ono żyje i co dzień o zmierzchu wysyła nad ziemię głos kościelnego dzwonu, aby oznajmiał ziemi, że żyje.

Wyraźne, jasne, przewlekłe są brzmienia dzwonu, przez które miasto pogrzebane wysyła na świat swoją pieśń tragiczną. Czy skarży się albo o ratunek woła? Czy wysyła poselstwo rozkazów, upomnień i proctw?

Na kwitnących cząbrach, z ręką wspartą o gibką szyję łani kobieta słucha dzwonu rozlegającego się w leśnej pomroce, a gdy nad uciszonymi wierzchołkami osin złotym okiem wyblaskuje pierwsza gwiazda, wznosi ku niej twarz wśród zmroku białą i usta jej poruszają się szeptem błagań, zwierzeń czy przyrzeczeń.

Jeszcze przez chwilę w oddaleniach wielkich rubinowe iskry

zorzy błędą i migocą, lecz wkrótce gasną. Wdzięczna postać białej łani w krepie zmroku spowijana niknąc poczyna i – znika.

Dzwon na uroczysku mogiły rozbrzmiewa coraz ciszej, wolniej, słabiej i – milknie.

Nad uciszoną i ciemną puszcza wschodzą wysokie gwiazdy i złotymi oczyma wpatrują się w morze jej nieruchomych, milczących szczytów...

Od Wielkiego Nikaru brzegiem puszczy bystro w głębokim łożysku płynie Lsna, a tam, gdzie Królewski Most zawiesza nad nią klamrę długą i zgrabną, nad rozległymi polami i łąkami dwór Krasowiecki stoi w odwiecznej, ciężkiej, ciemnej gęstwinie swych ogrodów. Szmerzącym szlakiem rzeki rozdzielony z puszcza wydaje się on w dal odrzuconym, końcowym akordem wielkiej pieśni.

Gęste sploty powojów owijały filary głębokiego ganku. W pokoju obszernym i niskim lampa płonęła nad stołem spiętrzonym książkami, dziennikami, wiąziami kwiatów, niemi jedwabioń i smugi obfitego światła wysyłała na ganek przez drzwi wysokie i wąskie, przez wąskie i nisko osadzone okna. Szły stamtąd oddechy samotności, spokoju, pracy. Rezeda i róże pachniały. Rozlegały się dźwięki pięknej muzyki fortepianowej. Ktoś w głębi domu umiejętnie i pięknie grał.

Seweryna Zdrojowska siedziała w smudze obfitego światła i pogodnym wzrokiem spoglądała w wielką płataninę roślinną, która od brzegu do brzegu okrywała rozległy dziedziniec.

Z kruży natury napiła się mocnych czarów piękna, przy legendowych brzmieniach dzwonu oko w oko patrzała na gwiazdy, z chóru leśnych woni wzięła w siebie kroplę słodczy miodnej i trochę tego pyłu, którym z głębokich spodów wieją żwiry rodzinne, aż w serce jej przedtem żalosne i rozteśknione spłynęła czarna perła szczęścia. Czarna, bo blasków tęczowych, których by nie owijały żalobne krepy – nie znała.

Pogodnie, prawie wesoło patrzała na drobne światła, mrugające wśród gęstej zieleni dziedzińca. Były to okna oświetlone blaskiem płonących za nimi ognisk rodzinnych. Przychodziły stamtąd tłumione oddaleniem urywki rozmów, wybuchy śmiechów, święgoty głosów dziecinnych. Głosy dobrze jej znane i dusze znane.

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

